

BIBLIOTEKA
Instytutu Badań
Literatologicznych PAN P. II - 586

W SETNĄ ROCZNICĘ ZGONU
TADEUSZA KOŚCIUSZKI.

WARSZAWA,
15-go PAŹDZIERNIKA 1917 R.

Stulecie Kościuszki

WYDAWNICTWO PAMIĄTKOWE POD REDAKCJĄ
TADEUSZA KOŃCZYCA.



1817

1917

CZYSTY ZYSK ZE SPRZEDAŻY PRZEZNACZA SIĘ NA FUNDUSZ IM. KOŚCIUSZKI DO UZNANIA
KOMITETU OBCHODOWEGO. CENA 1 MK.

DOBROCZYNNA LOTERJA KLASOWA LEGJONÓW POLSKICH

Ciągnięcie II-ej klasy 19 i 20 października.

NAJWIĘKSZE WYGRANE:

300,000; 200,000; 160,000; 130,000; 120,000; 115,000; 110,000 i wiele innych.

Cena losu do każdej klasy 25 Mk., ¼ losu 6 Mk. 25 fen.

LOSY SĄ DO NABYCIA U KOLEKTORÓW LOTERJI LEGJONÓW POLSKICH.

ZAŁOŻONY PRZEZ TOW.
KREDYTOWE ZIEMSKIE

BANK ZIEMIAŃSKI

KAPITAŁ
6.480.000 MK.

WARSZAWA, MAZOWIECKA 13.

Oddziały: w Płocku, Kaliszu, Lublinie. Wynajem skarbczyków opancerzonych.

APTEKA

LABORATORJUM
FARMACEUTYCZNE

STEFANA MICHELISA

WARSZAWA, MOKOTOWSKA № 43. Telefon 97-97.

Polecamy ZAPALKI krajowej fabryki



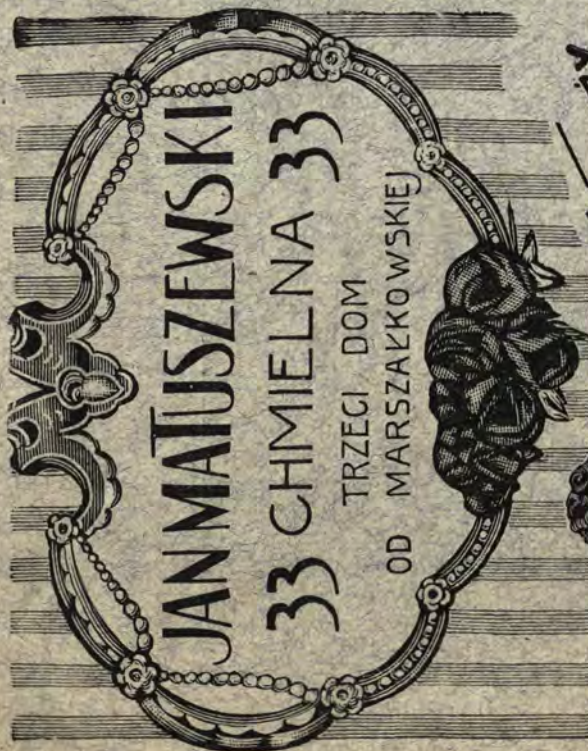
Biuro i sprzedaż główna w Warszawie,
ul. NOWY-ŚWIAT № 41.

Męska Szkoła filologiczna
4-klasowa

JERZEGO FLECKA w WARSZAWIE,
ul. Chłodna № 37.

Koncesjonowana przez Dep. Wyz. Rel. i Oświecenia
zawiadania Sz. Rodziców i Opiekunów,
iż nowo utworzona szkoła daje prawo wstępu uczniom
swoim do klas wyższych szkół filologicznych, tech-
nicznych, rolnych, leśnych i seminarjów; że do klasy
podwstępnej przyjmowani są chłopczy w 7-ym roku nie umie-
jący czytać i pisać.

Wpis całoroczny wynosi w klasach: podwstępnej, wstępnej I i II-szej
125 mk., w II-150 mk., III-180 i IV-200 mk.
Zapis uczniów do klas wszystkich trwa w dalszym ciągu od 9 do
1-szej i od 4 do 6.



FABRYKA
TRYKOCY

POLEGA
PONCZOCHY
ŻAKIETY
SKARPETKI
SWETERY
DZIECINNE
TRYKOCYKI
i t. p.



Filja Marszałkowska 154, pierwszy dom od Królewskiej.



STULECIE KOŚCIUSZKI.



Od Raclawic słychać armat granie...
Hej! na koń!

Niechaj cały naród wstanie
I chwyci za broń!
Niechaj skruszy przemoc dziką,
Co na polskim hula tanie!
Grzmią armaty...

A to granie
Przenajstodszą jest muzyką...
Hej! rozwiały się, rozwiały
Sztandary z wiatrami...
Hej! lśni orzeł w górze biały...

Dalej, bracia żywo!
...Matka Boska z nami!

Błyszczą kosa, dźwięczą kosa —
Będzie tutaj żniwo!

Pójdziem kosić chwast na grzędzie,
A Naczelnik patrzeć będzie
Na pracę uczciwą...

.....
Zapadły się w mroki grube
Sny rycerskiej doby...
I narodu kłeskę, chlubę
Bohaterstwo — i zagubę
Pochłonęły groby...

Już nie dźwięczą w polu kosa,
Choć łan pełen krwawej rosy,

* * *
Już kraj wolnych ludzi
Jasna zorza ze snu budzi...

Ale pamięć bohatera
Z Raclawickich pól
Serca polskie w walce wspiera,
Koi stary ból...

.....
Wstają przeszłości sny olbrzymie
I na dziejowej płynie fali
To jedno ukochane imię,
Co jest nadzieją i miłością
I wiarą, której nic nie zwali —
I bólem wspomnień i radością...
...Kościuszek!

.....
Skromny dziś Tobie wieniec splata
Ojczyzna Twoja niebogata...
Nie może dać Ci, bohaterze!
Posągów z brązu, czy marmuru
Ani pomników pysznych Tobie
Stawiać — w bolesnej onej dobie,
Jeno Cię, jak sakrament, szczerze
W głąb duszy rozedrganą bierze,
Jeno Twą pamięć w serce wchłania
I dzisiaj w śmierci Twojej rocznicę
Ślubuje Ci na Raclawice,
Że — mimo kłeski conajkrwawsze,
Pełna nadziei i wytrwania
W bój za swą wolność pójdzie zawsze!

TADEUSZ KONCZYC.



BITWA POD RACLAWICAMI 4 KWIECZNIA 1794 ROKU.

KOSYNIERZY ZDOBYWAJĄ ARMATY ROSYJSKIE.

MAREK SADOWICZ.


 W STULECIE KOŚCIUSZKI.
 

W dniu 15 października roku 1917 upływa lat sto od chwili, gdy w małej szwajcarskiej mieścinie, zdala od Ojczyzny, zamknął powieki największy z bohaterów szamocącej się w walce o byt swój niepodległej Polski.

Największy bezwątpienia, choć ich nie brakło w walkach z najezdniczą Moskwą na kresach wschodnich, nie brakło ich i w wozach Somosierry; nie brakło w złotych szlifach i pod generalskimi pióropuszcami pośród szeregów korsykańskiego zdobywcy, jak i w skromnej roli późniejszych komisarzy rządu powstańczego i najsłabszych członków oddziałów, błakających się po lasach z tej i tamtej strony kordonów, tropionych i szczutych, i wpędzanych z jednej w drugą pułapkę.

Kto nie legł z nich w insurrekcji 1794 i nie wymarzył, ciągnąc za gwiazdą Napoleona na Moskwę, a nie utonął w tragicznym odwrocie przez Berezynę ten marł w podziemiach fortec Spandawy, Koenigstenu, Ołomuńca i Krakowa, lub wreszcie szedł na obczyzną kłaść swe kości w walce o cudze i obce ideały, nieraz przeciwko ideałom własnym, jak na San Domingo.

To też nie dziw, że właśnie patryjoci najzagorzalsi i najserdeczniejsi, ale w rozumie swym najbardziej przewidujący, nie dając się pociągnąć magnesowi obcych interesów, usuwali się raczej w zacisze emigracji na jedynej wówczas spokojnej ziemi szwajcarskiej, aby zachować swe siły w rezerwie znów do czasu, kiedy ich Ojczyzna do siebie zawoła.

Takim był Kościuszko. Wyczerpawszy wszystkie sposoby i sposoby, aby sprawę odbudowy Ojczyzny naprzód skutecznie posunąć, nie dał się uwieść czczym obietnicom Bonapartego i raczej postanowił zająć stanowisko wyczekujące, niż pójść na przepaść walczyć dla obcej idei. Ze strony Napoleona nie widział intencji szczerej i nie ufał mu, a genjusz wojenny, który z małego kaprała zrobił wielkiego cesarza, nie zaślepił go tak jak innych. Jak Poniatowski był bohaterskim rycerzem, tak Kościuszko był przede wszystkim *obywatelem-bohaterem* w stylu rzymskiego Cyncynata.

Wyrosły z roli w małym dworku szlacheckim Siechnowic, obcy był fałszywym a błyskotliwym ambicjom przysięgłych ratowników Ojczyzny, którzy z Jej losem wiązali karjery własne. Pełen cnót domowych, ziemiańskich, kochał Ojczyznę swą jak rolnik ziemię, na której się urodził, wyrósł, którą uprawiał i która go żywiła. Cały późniejszy światopogląd jego i cały systemat politycznego myślenia, cały projekt później-

szego urzędzenia Ojczyzny, tkwiący w jego mózgu, oparty był na tem jego przywiązaniu. Dla tego też czuł i rozumiał lud; wiedział jak go dla Ojczyzny zobowiązać. Uniwersał Połaniecki w sprawie ogólnej, a testament w sprawie włościan siechniowickich tego dowodzi. Lud też zrozumiał go i szedł za nim.

Dla tego, kiedy spostrzegł, że realizacja jego ideałów się oddala, że siły narodu mogą być wyzyskane i to za jego sprawą, nie dla przyszłości Polski — Kościuszko usunął się, czekając sposobnej chwili.

Nadto, odróżniał ideały własne, osobiste od ideałów, które uważał za wytyczne dla narodu. Dla tego to wcześniej jeszcze widzimy go pod Savannah, walczącego o wolność Ameryki. Ale tam na obcym gruncie dawał upust własnemu temperamentowi, nikt go za sobą nie ciągnąc. Jako czciciel i szermierz wolności, brał udział w walce o wolność choćby obcego narodu, ale jako Naczelnik narodu udział w walce chciał brać tylko o wolność własnego kraju. I w tym celu zamiarem jego było wprowadzenie powszechnego uzbrojenia, aby cały naród tworzył milicję, do której oficerów wybierano na sejmikach. Takiego to wojska Naczelnikiem chciał być — nie dla ambicji, ale dla tego, że uważał, iż system ten da prawdziwą siłę do oparcia się nacierającym zewsząd w sposób wojskowy i dyplomatyczny wrogom.

Pozatem jako demokrat i republikanin sądził, że przy systemie tym nie ostoi się w przyszłości w Polsce monarchja i, że unikając krwawego przewrotu, którego przykład niedawno miał we Francji, drogą ewolucji da się osiągnąć republika demokratyczna.

Przy krystalicznej uczciwości swojej Kościuszko nie dyplomatyzował — był maksymalistą. Nie ufał półśrodkom i odrzucał wszelkie paljatywy w rodzaju Księstwa Warszawskiego, które w pojęciu Kościuszki było politycznym potworkiem. Nie łudził się i nie chciał wprowadzać w błąd narodu, że Francji lub Napoleonowi zależało na losie Polski. Przeciwnie, całe jego wstrzemięźliwe zachowanie się dowodziło, że zdaniem jego na własnych siłach tylko polegać w tym kierunku można. Wierzył w bitność narodu, nie wierzył tylko w jego spoistość i organizację, którą dać mu pod względem wojskowym próbował. To też zaprowadzenie ładu i spójni w narodzie było do końca jego duchową troską, którą z całego swojego życia i całej taktyki przykładem przekazał nam w swym testamencie.

Dziś, w chwili, kiedy szeregiem uroczystości czcić mamy Jego pamięć, uczcijmy ją przede wszystkim zrozumieniem tych idei Wielkiego Naczelnika.


 N A P R Z Ó D !
 

*Choć cię szyderstwa rani cierni,
A obojętność ziębi,
Niechaj miłości ogień wre
W twej smutnej duszy głębi.
Choć zdradził cię serdeczny druh —
To nic! Idź naprzód śmiało!...
Ach! powołanych wielu jest,
Ale wybranych mało!*

*Nic to, że wrogów twoich tłum,
A z tobą garstka idzie:
Lepiej samotnie z dumą leż,
Niż z tłumem żyć w ohydzie.
Choć śmierć i męka czeka cię,
Bez przerwy dąż do celu...
Ach! jak wybranych mało jest,
Choć powołanych wielu!*

*Gdy ci ostatni w serce cios
Dłoń ukochana zada,
Kiedy w żelazny uścisk swój
Pochwyci cię śmierć blada,
Konając — wierz, że wszystko to
Jak trzeba, tak się stało...
Ach! powołanych wielu jest,
Ale wybranych mało!*

BRUNO WINCENTY KOROTYŃSKI.

STANISŁAW OCHOCKI.

RZEŹ PRAGI.

(Opowieść, odznaczona na konkursie „Echa Pragi“).

Losy Pragi rozstrzygnięto. Projekt Wawrzeckiego porzucenia robót około ufortyfikowania Pragi, spalenia jej i przeniesienia akcji obronnej do Warszawy, stanowczo odrzucono.

Kołatąj, gorąco zwalczający ten plan obrony, pociągnął za sobą większość — postanowiono, aby Praga swą pierś zasłoniła Warszawę.

Wyszedł rozkaz sypania szańców. Roboty postępowały szybko, a wieści o zbliżających się wojskach rosyjskich z Suworowem na czele; potęgowały pośpiech.

Tragiczne wieści z pod Kobyłki, wzięcie do nie-

pozycje, jako obrońcy, postanowili przetrwać ciężkie chwile wraz z nimi.

W końcu października, kobiety zebrały się po mszy przed klasztorem Bernardynów; pod wrażeniem gorącego kazania ojca Antoniego, przejęte miłością ojczyzny i swego gniazda, umacniały się wzajemnie w chwalebne, aczkolwiek niebezpiecznym postanowieniu.

— Ptak marny i to swego gniazda nie opuszcza, choć płomień je ogarniają... — dowodzi stara Wyroszemska. — Kiedy mi się stodoła paliła, bocki skrzydłami ostoniły gniazdo i spłonęły z nim razem. Mamyż być od ptaka gorsze?



woli rannego Byszewskiego wraz z 25 oficerami i przeszło półtora tysiącem żołnierza, rozbicie pod Ostrołęką oddziału Grabowskiego, wywołały znaczne ostudzenie rewolucyjnego zapału wśród mieszkańców Warszawy.

Mimo groźnych rozporządzeń Wawrzeckiego, ten i ów napomykał o pokoju, mniej się lękając szubienicy, niż najścia Moskali.

Niebawem resztki korpusu Mokronowskiego zajęły okopy na Pradze. Zwątpienie w pomyślny obrót powstania ogarnęło wojsko i szerzyć się zaczęło z przerażającą siłą.

Suworow tymczasem zbliżał się pod Pragę.

Część ludności uciekła za Wisłę — większość nie chciała opuścić swego mienia. Prażanki, których mężowie i bracia pracowali przy okopach, lub zajmowali

— Ja zostaję... — mówi we wdowie szaty odziana niewiasta. — Mąż i dwaj bracia legli na Maciejowickich polach... nikt mnie już nie potrzebuje... krom ojczyzny. Kule mi nie straszne — pójdę między naszych... będą ranni — przydam się może... A Bóg pozwoli, to i z mojej ręki niejeden wróg padnie.

Synowa Wyroszemskiej z dwunastoletnim chłopcem wysunęła się naprzód. Z ręką na głowie dziecka, z gorejącymi mściwością oczyma woła:

— Uciekać? — nigdy! Raczej zginać, niż uciekać, jak tchórze! Kto żyw, niech za broń chwytą! Mąż mój poszedł... a mnie żal, że ten jeszcze za mały, — wskazała syna — że jego rączyny za wątle, aby tłuc wroga...

— Ho, ho! tak pani krew pachnie? — zadrwiła Biernacka. — A ja pani mówię, że to na nic się zdało.

Kto dziś wierzy w zwycięstwo? Kościuszkę zgryźli, a na Wawrzeckim mają niby Moskale zęby połamać! Ej, Boże! Lepiejby zrobili, żeby pokój zawarli i ludzi nie ślali na zatracenie.

— Widzisz ją, moskiewską protektorę! — krzyknął ktoś z tłumu. — Czy pani czasem szubienica nie pachnie?

Kobieta skryła się w gromadzie i ciszej szerzyła znów popłoch i niewiarę.

— Jeść co nie mają... mówili mi żołnierze... A Moskale pono wałą w sile ogromnej na naszą garstkę. Sam król radby koniec powstaniu uczynić.

— Taki tam i król, co od narodu ucieka! — machnęła ręką Wyroszemska.

— Bajki! Plotki! Choćby i wtedy w święty Stanisław: Król Jegomość zacnie, pocziwie, przyjechał na Pragę okopy obejrzeć i mosty, a tu zaraz, Jezus, Marja! gwałt, lament w Warszawie: „Król uciekł!” Pokazało się wtedy, jak to ludzie bajki plotą.

— Już ja tam królowi nie wierzę!

— A komu pani wierzysz? Może Radzie, może ich obiecankom? Łatwo obiecywać, będąc z góry pewnym, że dotrzymać nie będzie możliwości. Pół włóki gruntu, a to i dom dostanie i woły, jeśli wytrwa żołnierz do końca... Ale, moja pani, który wytrwa, który do domu wróci?

— A choćby nie wrócił, to i co? Jemu chwała, a rodzinie i sierotom zapewniono opiekę... — wtrąca wdowa.

— Ee! Pani wciąż jedno! Chwalebnie to i pięknie, ale niech pani policzy, ilu ich już padło i ilu padnie jeszcze.

— Czego ta stara kracze, jak kruk nad padliną? Wartoby jej gębę zamknąć, Jędrek...

— Albo ojca Antoniego poprosić, niechby posłuchał, jak ta baba zachęca do boju...

Andrzej przecisnął się do Biernackiej. Ostro wpadł na kobietę:

— Zmykaj pani do domu, zanim tu którego Bernardyna przyprowadzą! Ciężki grzech w takiej chwili, ludziom wiarę w zwycięstwo odbierać.

Biernacka podparła się pod boki.

— Ejże! Patrzajcie go, młokosa! Kazanie mi tu prawi, a sam, zamiast z Moskałem, z babami wojny prowadzi!

Andrzej uniósł w górę dłoń. Opuchłe były i całe pęcherzami pokryte. Gorączkowa praca przy kopaniu szanów pod Pragę, praca bez wytchnienia, zostawiła bolesne ślady.

— Tymczasem tyle — zawołał — a gdy Moskale zaczną walić z armat, zechciej pani poszukać, może gdzie głowę moją znajdziesz. Ja jej napewno nie będę oszczędzał.

Siostra Wyroszemskiej stanęła przy nim. Duma biła z jej twarzy i gorące umiłowanie ojczyzny, za której wolność sama chętnie życieby oddała.

— My nie z tych, co się śmierci boją! — woła hardo. — Za Ojczyznę umierać, to szczęście i obowiązek! Niech pani idzie do Warszawy, tam się więcej takich znajdzie, co jeno na ustach im ojczyzna, a w sercu zdrada i chęć poddania się wrogowi.

Ktoś pisnął w tłumie:

— Król Jegomość!

Ten i ów się zaśmiał.

— Wiem ja dobrze, co się dzieje... — woła Hanka. — Żołnierze nasi, niech tylko który zajrzy do Warszawy, wraca jak odmieniony, na duchu upadły...

— Będiesz inaczej śpiewać, jak cię kozak, albo

tatar uściśnie, zamiast twego chłopca... — zadrwiła Biernacka.

Dziewczynie oczy dziko rozbiły się.

— Ślepie wydrę... nożem przebiję!..

— Ich tam będzie gromada — nie uradzisz...

— To w Wisłę skoczę...

Młodsza Wyroszemska pociągnęła siostrę.

— Chodź, Hanuś! Co tam gadać i swarzyć się po próżnicy. Zostaniemy na Pradze i koniec. A kto o swoją skórę dbały — niech ucieka.

Zaczęto się rozchodzić. Podniosły nastrój, wywołany gorącą mową zakonnika-patrjoty, zmały nie pozbawione racji dowodzenia Biernackiej. Strach przed dziczą kozacką, wżarł się w serca, wyobraźnia malować zaczęła przerażające sceny mordy i pożogi.

Wyroszemskie, spokojne i zdecydowane, szły ku domowi, rozważając, co uczynić ze ślubem. Zapowiedzi Hanka z Andrzejem ostatni raz padły z ambony. — Czy godzi się jednak myśleć teraz o szczęściu osobistem?

— Nie dla uciechy własnej, jeno przez wzgląd na Hankę, nalegam... — tłumaczy Andrzej. — Słaba nadzieja, abym wyszedł cało — niechżeby chociaż, jako moja żona, miała prawo do opieki i pomocy.

Stara Wyroszemska obruszyła się.

— Póki mam dach nad głową i kęs chleba, Hanka niczyjej pomocy nie będzie potrzebowała.

— Tu się kamień na kamieniu nie ostanie... — rzekł z ponurą pewnością.

Siostra Hanka wzięła jego stronę. Losy wojny Bogu tylko wiadome — niechby się pobrali dziś, na niesporze.

— Chcesz, Hanuś?

Dziewczyna mocno uściśnięła dłoń siostry.

Szary dzień jesienny chylił się ku wieczorowi — zadzwoniono u Bernardynów na nieszpory.

Płactwo, kracząc, obsiadło drzewa, któremi wiatr targał, strząsając pożółkłe liście.

— Niewesoły nasz hymn weselny, Hanuś... — smętnie uśmiechnął się Andrzej.

Hanka spojrzała w górę.

— Patrz, kruki krążą po prawej stronie... Pamiętasz, jak się ta zła wróżba spełniła naszym przed Maciejowicką bitwą?..

— Mnie wróżą śmierć, a tobie wdowieństwo... — usiłuje żartować Andrzej.

— Ty myślisz, że jabym bez ciebie...

Nie dokończyła, spłoszona wyrazem jego oczu.

Stary zakonnik drżącymi rękami złączył dłońe młodych.

Wrócili do dworku Wyroszemskich, przejęci jedną myślą: że chwile ich szczęścia małżeńskiego dziwnie mają być krótkie.

Nazajutrz Andrzej wstąpić miał w szeregi.

Wiatr jesienny jęczy w kominie, targa okienicą i szczelinami wciska się do izby.

Czerwony płomyk olejnej lampki drga i mruga przed Loretańską Matką Bożą, patronką Pragi. Stara Wyroszemska półgłosem odmawia różaniec, obserwując z pod oka synową. Niepokoi ją błyskająca w rękach kobiety stal i miarowy zgrzyt pilnika.

— Co ty robisz, Maryniu? Pacierze mi się mylą i tak czegoś przykro... stal tak dźwięczy...

— Sztylet ostrzę, matko... Stępał od starości...

— Cóż ci potem? Nie kobieca rzecz zabawiać się orężem...

— Nadchodzi taka godzina, że się przyda...

Wyroszemska zakryła oczy.

Pilnik znów zazgrzytał.

Sztylet musi być ostry, jak szkło...

Mocne stukanie przeraziło kobiety. Skoczyły ku drzwiom i przychyliły się, nasłuchując.

— Otwórz, Maryś... — głos Jana drży niecierpliwością.

— Jan!

Matka drzwi szarpnęła i, nie dając przestąpić proga, ogarnęła w ramiona żołnierza.

Marja, do bezsily oszołomiona radością, wsparła się o ścianę.

Dojrzał ją Jan i wyciągnął rękę. Przytulił obie kobiety do piersi długim uściskiem.

— Przyszliśmy z Andrzejem... jest już u Hanka... — mówi, by stłumić wzruszenie. — Drzwi zamykajcie, bo ziąb straszny, a ja ciepła spragniony, w okopach przeziębłem do kości...

Matka rzuciła się rozniecić ogień na kominku.

Płomień rozjaśnił izbę.

Z mroku wynurzyła się postać żołnierza zbiedzona, zziębnięta. Obłożona odzież, zdarte buty, twarz poczerniała, wychudła.

Marja spojrzała mu w oczy.

Zrozumiał pytanie.

— Podchodzą pod Pragę... — rzekł zdławionym głosem.

— Już? Jak szybko się posuwają!..

— Niech się raz spełni... Sił niema, głód zaczyna dokuczać i zimno...

Zapatrzył się w płomień.

Znużenie, wywołane forsownym marszem z pod Kobyłki, wyłobilo ślady na twarzy Jana, wyraz tępego bólu w szarych oczach mówi o porażce, upadku energii i braku ufności w moc polskiego oręża.

— Ty nie wierzysz w zwycięstwo?... — szept jej zadźwięczał przerażeniem.

— Nie...

— Ale dlaczego, dlaczego?

— Los się sprzysiągł... Klęską jest dla nas wzięcie do niewoli Kościuszki! On jeden... dla niego każdy życie dałby z ochotą!.. z nim cudów można było dokonać!.. Wawrzecki... ech! On sam ze łzami bronił się od przyjęcia dowództwa, sam nie uznaje się zdolnym... Zresztą, jak to zwykle u nas: ilu panów w Radzie, tyle zdań—nie ufają sobie wzajemnie...

— To i co? Żołnierz dzielny, to grunt!..

— A tego żołnierza zaledwie 8 tysięcy...

— Moskali siła więcej?

— Pono czterdzieści... a sprzymierzeniec, w trzydzieści tysięcy, podchodzi z drugiej strony...

Prawda, jak upiór, ukazała się oczom Marji.

Stara Wyroszemska położyła dłoń na pochyłonej głowie Jana.

— To źle z nami, synu?

— Złe, matko

— A czemu dziś armat nie słychać?

— Idą pospiesznym marszem pod Pragę... Są już blisko...

Stara przysłoniła oczy dłonią.

Blisko... a zatem dni Pragi polczone... Żal okrutny ścisnął ją za gardło. Żal nad każdym kamieniem i żdźbłem piasku, które deptać będzie stopa wroga, żal nad starymi domami, stać się mającymi pastwą płomieni...

— Musicie jutro ruszyć za rzekę... — mówi Jan głucho, a w głowie jak młotem wali: — Ostatnie to nasze widzenie...

Kobiety rzuciły się ku niemu.

— Nie, nie! Za nic nie pójdę!

— Tę się rodziła, tu chcę umierać... Jak te bociany na własnym gnieździe.

Lżej odetchnął. I on rozumiał, że nie godzi się opuszczać swego gniazda w takiej chwili, że lepiej teraz zginąć razem, niż patrzeć na zakutą w kajdany Ojczyznę. Nie byli z tych, którzy mogli znieść dźwięk kajdan.

Przygarnął do serca kobiety.

— Zostańcie...

Staszek przez sen postyszał głos ojca. Sypiał teraz czujnie, jak ptasę na gałęzi, przejęty dalekim pomrukiem armat i wzbierającą w sercu nienawiścią do zbliżającego się wroga.

Przetarł oczy i wyskoczył na środek izby.

— Tatusiu!

Ponure spojrzenia skrzyżowały się nad głową dziecka.

— Usłyszałem cię przez sen... Pamiętasz, obiecałeś mi szablę...

Widok dziecka wstrząsnął Janem. Zapomniał o dzieciach. Czy wolno mu skazywać je na śmierć pewną?..

Marja w lot jego myśl odgadła.

— Janie... to dziecko Pragi... on jej nie opuści...

Chłopiec wnet pojął, o czym mowa.

— Nie pójdę za Wisłę! Ja nie jestem pani Biernacka... Niech mi tatuś da szablę, będę bronił Pragi.

Duma zajaśniała na zoranej zgrzyzotą twarzy Jana.

Ze skrzyni, gdzie chował stare pamiątki, wyjął małą, z kosi nigdy przez siebie zrobioną, szabelkę. Nieudolne to było i zczerniałe.

— Masz, synku. Nie sądzone ci pewno długie lata służyć Ojczyźnie, niechże chęć gorąca za czyn stanie... mały żołnierzyku!..

Staszek ucałował kolana ojca. Zważył w dłoni szabelkę—ciężka jest, gdy się wyostrzy, ciąć będzie, jak brzytwa...

Ta pierwsza broń na wroga zrodziła w duszy dziecka poczucie obowiązku względem Ojczyzny.

Do izby sączyć się zaczął powoli blask dziwny. Serce wycięte w okienicy nasiąkało stopniowo purpurową jaśnią.

Wyroszemska wskazała je synowi.

— Płoną okoliczne wioski—odparł—aby Moskale nie znaleźli nigdzie w pobliżu spoczynku.

Podniósł się ociężale.

— Pora już na mnie...

Miał im powiedzieć, że zapewne widzą się po raz ostatni.

Duszę żołnierza przejęła najcięższa z boleści. Zacisnął zęby i stał chwilę, oczyma wodząc po chacie, żegnając ściany, stare sprzęty, wszystkie przeżycia szczęśliwej młodości, wyglądające doń z każdego kąta.

Wiatr zawył w kominie, sypnął liściem opadłym, zatargał okienną ramą.

Czas...

Bez słowa Jan uściśnął kolana matki, przyjmując z jej rąk ostatnie błogosławieństwo—na bóg i śmierć chwalebna. Żonę i syna objął w ramiona i zaraz oderwał się od nich, nad kołyską przystanął i, nie czując już mocy do uściśnięcia najmłodszej dziecińcy, wzrokiem ją tylko żegnał pełnym boleści.

W sieni drzwi skrzypnęły.

— Janie, wracać pora... — ozwał się głos Andrzeja, dziwnie zmieniony.

Wyprowadziły ich kobiety do furty.

W Hance dusza zamarła — szła chwiejnie, wpatrzona w nikoną na tle pożarnych łun postać Andrzeja.

Dnia 2 listopada wojska rosyjskie, przy odgłosie bębnow i muzyki, zajęły pozycje pod Pragę. Też nocy zaczęto ustawiać baterje, a dnia 3 listopada piętnaście dział rosyjskich plunęły ogniem na Warszawę.

Rozpacz ogarnęła miasto. Lud tłumnie gromadzi się w kościołach, błagając Boga o zmiłowanie. Król, zdenerwowany i drżący, wpada w histeryczne ataki, gdy kule zaczynają uderzać w mury zamku.

Praga gorączkowo przygotowuje się do obrony — mało kto jednak wierzy w możliwość rychłego szturm, w nadziei, że Suworow da dłuższy odpoczynek zmęczonej uciążliwym marszem armji, po przestanie tymczasem na ostrzeliwaniu miasta.

Tego chciał właśnie Suworow. Z zadziwiającą znajomością położenia rozlokował wojska.

Po lewej stronie stanęły dwie kolumny korpusu Derfeldena i dwie Potemkina. Z prawej strony szanów polskich trzy oddziały pod dowództwem Fersena, bliżej ku Wiśle oddziały Rachmanowa, Denisowa i Tormasowa. Za rzeczką, wpadającą na Pradze do Wisły, zajęła stanowisko konnica Szewicza.

Noc z dnia 3 go na 4-ty listopada cicha była, gwiaździsta.

Oswojono się nieco z blizkiem sąsiedztwem Moskali, w wielu domach odsypiano spokojnie pełne grozy noce poprzednie.

Niebezpieczeństwo — jak zwykle, gdy spojrzysz mu się wprost w ślepie — wydało się nie tak groźnym i rychłym.

Suworow, korzystając z cieniów nocy, o godzinie trzeciej wysłał oddziały na wyznaczone stanowiska. Noc uchodzi — każda sekunda przybliży godzinę męczeństwa Pragi.

U Bernardynów zadzwoniono na prymarję. Sygnaturka dźwięczy nad uspionym miastem — w obozie wroga raca sygnałowa daje znak rozpoczęcia ataku.

— Pójdę na mszę, matko... — mówi Marja, wsluchując się w srebrzysty, z ciemni nawołujący głos dzwonu.

Wyszła za furtę.

Zimna noc wionęła ku niej zapachem umierających topolowych liści i traw wilgotnych.

Miasto śpi.

Wschodnia strona nieba powoli przybierać zaczyna jaśniejsze tony. Dźwięk organu dolatuje od klasztoru.

Nagle od strony wzgórz, gdzie byli rozstawieni strzelcy, przed lewym skrzydłem polskim, huknęły strzały.

Zgiełk, z początku nieuchwytny, stopniowo coraz groźniejszy i straszniejszy, idzie ku miastu z ciemności.

Marja rzuciła się ku domowi. Potykając się, zapadając w błoto, dopadła furty.

Zakołatała we drzwi siostrzynej izby.

— Hanko, Moskale atakują lewe skrzydło!

Hanka porwała się z kolan. Umarło w niej nagle wszelkie czucie — nawet myśl, że to właśnie tam, gdzie jest Andrzej.

Machinalnie sięgnęła za obraz, duży nóż, na dwie strony wyostrzony, z okrutnym uśmiechem zważyła w dłoni. Spokojna a straszna wybiegła na ulicę.

Zgiełk i strzały od strony wzgórz wzbierają

jak rozhukana fala i rozlewają się, ujmując w coraz szersze kręgi śpiące miasto. Ogień, ukazujący się na wzgórzach, wskazuje kierunek Hance.

Szaleństwo błysnęło w rozwartych szeroko oczach Hanki. Skoczyła skokiem pantery, ścigającej zdobycz.

Im bliżej reduty, tem wyraźniej dobiega ją gwar jękliwy i dzikie „hura!“ wdzierających się na wały Moskali.

Naraz serce w niej stanęło.

Plutonami pierzcha żołnierz polski. Mijają Hankę gromady oszalałe strachem, gnane wyciem tłuszczy kozackiej.

Ktoś ją potrącił, ktoś krzyknął:

— Uchodź, dziewczyno!

Silna dłoń ujmuje jej ramię i wlecze ku miastu.

Za nimi goni tentent uciekających i jęki kłótych bagnietami żołnierzy.

Moskale opanowali wał — rozrywając go, torując pospiesznie drogę konnicy.

Zajacek na odgłos pierwszych strzałów pobiegł ku reducie. Zawrócił uciekający oddział, zachęcając do boju i pracę odważnie naprzód. Nagle zachwiał się, w oczach mu pociemniało, uczuł, że jest raniony.

Pisk kozactwa wrócił go do przytomności. Napastowany, zaledwie przedrzeć się zdołał z powrotem.

I jego opanowała panika — wmieszał się w uciekające za most gromady.

Generał Jasiński i Grabowski bohatersko bronią się w Zwierzyńcu.

W szarym mroku wstającego dnia rozdzwoniły się dzwony kościelne na trwogę.

Kto żyw, zrywa się i biegnie na ulicę.

Żołdactwo moskiewskie wali kupą w miasto, rozpierzcha się po domach, kłując bagnietem lub kolbą roztrzaskując głowy oszalałej trwogą ludności.

Zwały trupów rosna. Przerażający jęk i charczenie konających rozbrzmiewa dokoła.

Rozjuszony pułk kozacki rzucają się do gwałtu i rabunku... słupy ognia i dymu wybuchają naraz w kilku miejscach.

Tuż obok dworku Wyroszemskich czerwone języki ognia zaczynają pełzać po dachu. Trzask pękających gontów dochodzi do uszu starej Wyroszemskiej.

Drżącymi rękami roztwiera okno — buchnął dym i gorąco, cała izba rozgorzała odbłaskiem luno.

— Zabierz dzieci, Maryniu... Ogień wnet przerzuci się na nasz dach...

— Gdzie pójdę? — jęknęła Marja.

— Biegnij ku Wiśle... W razie... to i śmierć w wodzie lżejsza, niż w ogniu.

— Matko, a ty?

— Ja zostaję...

Marja chwyciła śpiącą dziecinę z kołyski, szarpnęła ramię chłopca.

— Czas na nas, Staszku... — woła głucho.

Chłopak zerwał się, spojrzął w okno.

— Moskale! — krzyknął.

Nie odrywając oczu od kłębiących się za oknem płomieni, wdziewa ubranie.

— Prędeż, prędeż, Staszku...

Ode drzwi chłopak zawrócił.

— A babcia?

— Zostaję...

Chłopcu oczy słupem stanęły. Dopadł kolan babki i naraz krzyk przeraźliwy, bolesny wypełnił izbę. Staszek wije się u nóg babki, obejmuje kolana.

— Babciu! Z nami!.. Ja nie chcę, żebyś tak się spaliła, jak bociany...

Podniosła go i przytuliła do piersi.

— Dobry żołnierz umiera na stanowisku... a tu jest moje... Ty idź pomagać ojcu.

Oprzytomniał. Zaciśnął zęby, porwał ze ściany zczerniałą szabelkę i rzucił się do drzwi.

Zasłonięci murem sadu, schodzącego ku rzece, przemykają się chyłkiem.

Z po za muru dochodzi tentent nóg, zmieszane głosy, rozdzierający wrzask schwytej przez kozaka dziewczyny, jęk, lubieżny chichot...

— Niczewo, gołubuszka... nie bój się...

Dziecko, rozbudzone krzykiem, zapłakało.

Nad murem ukazała się głowa kozaka.

— Postoj, sobaka, nie uchodil Strielat' budu...

Przeskoczył mur, w kilku skokach doznał uciekających.

— Pogulajem, matuszka... — pijacko zarechotał.

Brutalnie wyrwał dziecko z rąk Marji, uniósł je nad głowę, odrzucił precz od siebie.

Płacz ucichł... Zatrzepotały w trawie wilgotnej małe rączki, ciało zwinęło się w śmiertelnym kurczu.

Gorący, pijacki oddech zionął w twarz kobiety.

Wpatrzyły się w nią oczy żbika, dzikie, rozpasane...

Z siłą zwierzęcia, mszczącego mord swego dziecka, kobieta żgnęła sztyletem w okrutne, wybaluszone ślepie.

Stał miękko zagłębiła się w orbicie — bluznęła krew.

Kozak ryknął dziko, osunął się na ziemię.

Rozjuszona kobieta jęła na oslep zadawać razy.

Nóż, jak żądło żmii, wpija się w ciało, kąsa...

Szał, ogarniający kobietę, udziela się zmartwia-temu ze zgrozy chłopcu.

Ręce, kurczowo zaciśnięte na rękojeści ojcowej szabelki, unoszą się raptem i nowy cios wali w okrwawioną, poszarpaną twarz kozaka.

Kobieta ociekający krwią nóż chowa na piersi.

Biegnie szukać dziecka.

Z głuchym jękiem pada na murawę, porywa stygnące zwłoki. W szale boleści unosi je w górę, Boga wzywając na świadka tej męki.

Staszek pochyla się nad nią. Ma twarz upiора. Włosy zjeżone, oczy rozwarte grozą śmiertelną. Przeciąga ręką po czole, znacząc je krwawą smugą ponad brwiami.

— Uciekajmy... uciekajmy!..

Rzucili się ku Wiśle.

Srebrzy się szara, szeroka tafla wody w świetle powstającego dnia, blisko, coraz bliżej.

Nogi grzęzną w wilgotnym piasku — wpadli na wybrzeże.

Skłębiony tłum wije się tu w śmiertelnym prze-rażeniu.

Ktoś odwiązuje czółno—setki rąk wyciągają się ku niemu, setki nóg tratują pomost z ciał ludzkich, ruchomy, żywy...

Przepełniona łódź dostaje się na głębie, pogrą-za... tonie...

Nad srebrną taflą wiją się błagalnie wyciągnięte ręce, głowy wynurzają się z fali i zapadają w głębinę.

Wśród tłumu oszalały zwycięstwem kozak unosi nadziane na bagnet, z ramion matki wydarte, nie-mowlę.

Kilkanaście zakonnic Bernardynek, w białźnie i bozo, uchodzi, jak ścigane sarny, przed rozjuszo-nem żołdactwem.

Pada strzał...

Biała postać, jak żywy krzyż z rozpiętymi ra-mionami, zostaje na piasku...

Zakonnice dopadają mostu... tłum tamuje dro-gę... ocalenie jest niepodobieństwem.

Głos czysty wybija się ponad wrzawę:

— Panie! W ręce Twoje oddaję ducha mego...

Młodziutka zakonnica skoczyła pierwsza z mo-stu w nurty Wisły.

Jak białe lilje padają w głębinę młode, dziew-czące ciała.

Od Zwierzyńca dochodzi odgłos zacieklej walki.

Ztamtąd nikt żyw nie wyjdzie...

Marja zwróciła głowę w tę stronę.

— Staszku... tam grób ojca — a tu nasz...

Martwą dziecinę cisnęła w zrumienione krwią fale Wisły, syna wpół ujęła i skoczyli w próżnię.

Zamknęły się nad nimi fale.

Rozjęczały się dzwony za rzeką — biją na trwo-gę Warszawie — na bohaterską śmierć Pradze.

Wschodzące słońce rzuca snopy iskier złotych na Wisłę.

.....

W słonecznej glori wstał nad Pragę, otuloną w dymy pożogi, dzień piąty sierpnia 1915 roku.

Huk dział... miarowy trzask mitraljez... jęki ko-nających...

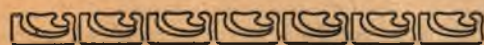
Rumienią się fale Wisły krwią moskiewską — jak żłte snopy wali się żołnierz na wybrzeże...

Sto dwadzieścia dwa lat czekała Praga, zakuta w kajdany, dnia pomsty Bożej...

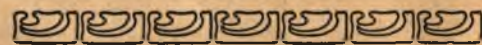
Przyszedł...

Słońce rzuca snopy iskier złotych na Wisłę, czerwoną od krwi...

Jak niegdyś... Jak niegdyś...



NA CICHE POLA...



*Na ciche pola zima śnieg
Już wkrótce rzuci biały...
...Daleki marzy mi się brzeg
I życie pełne chwały.*

*W szarość posepnych, krótkich dni
Wbijam swe smutne oczy, —
Sen mi się dawny śni i śni
Młodości mej uroczej...*

*Chłodne i czyste w srebrną dal
Unosi strumień wody...
Na skrzydłach nocy głuchy żal
W marzenia wpełzł ogrody.*

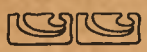
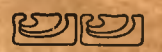
*Już błądy miesiąc blasków jaśń
Zatopił w mroków gęstwie,
Zwątpienia dech zagasił baśń
O szczęściu i zwycięstwie.*

*Oddycha wiatr na łonie fal,
Mgieł suną korowody —
Wczołgał się cicho późny żal
W mych cudnych snów ogrody.*

*Do innych krain śpieszy stąd
Ptak, by tam pieśń swą nucić.
.....
A duch mój wie, gdzie zbawczy ład,
Lecz już nie może wrócić!*

RYMWID.

JAN ADOLF HERTZ.


 WARJANT Z „KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO”.
 

FRAGMENT Z II-jej CZĘŚCI TRYLOGJI.

27-go maja 1794 roku w obozie Kościuszki w Jędrzejowie.

Godzina przedwieczorna pięknego pogodnego dnia wiosennego. Miejsce przed murami Opactwa, którego fragment z bramą znajduje się z prawej strony na przodzie sceny. Przed bramą, wiodącą do Opactwa — szara niska kamienna ławka. Z przeciwległej strony — mały, skromnie, biało oparkaniony ogródek pełen bzów, będących w najbujniejszym rozkwicie. W głębi widok na pola, pokryte młodem, pięknie zapowiadającym się zbożem. Kościuszek w swej szarej siermiedze generalskiej siedzi na ławce przed Opactwem i, opuściwszy głowę na piersi, trwa przez dłuższą chwilę w zadumie.

NIEMCEWICZ (wyszedłszy z bramy Opactwa i dążąc w stronę ogródka z bzami). Dobry wieczór, Naczelniku!

KOŚCIUSZKO. Dokąd tak dążysz, panie Julianie?

NIEMCEWICZ. Do ogródka — chciałem bzy dla ciebie zerwać, kochany Naczelniku.

KOŚCIUSZKO (z wyrazem nieziemskiej dobroci i głębokiej mądrości w swoich wielkich oczach). Daj spokój — niech rosną — pachną i zdaleka. Niech zamrą na tej gałęzi, gdzie się i zrodziły. Na tułaczkę i niewolę twą niech nie idą.

NIEMCEWICZ. To przecież tylko kwiaty.

KOŚCIUSZKO. Chcesz miłować — serce mieć czujące — od żdźbła zacznij i zdążaj coraz wyżej aż do człowieka, anioła i Boga. No, siądź, Niemcewicz, przy mnie. Przyjemny dziś jest wieczór.

(W opactwie i w pobliskiej wiosce zaczynają dzwonić na Anioł Pański).

NIEMCEWICZ. Pójść już muszę — pisaniny dużo. A ty, Naczelniku? Obiecałeś nową wydzielić mi robotę.

KOŚCIUSZKO (patrząc w niebo w stronę zachodzącego słońca). Daj odpocząć chwilkę i trochę... pomarzyć... Potem wstąpię do kościoła i zaraz wezmę się do pracy.

NIEMCEWICZ. Tedy do zobaczenia, Naczelniku. (Chce odejść).

KOŚCIUSZKO (wciąż zapatrzony w niebo). Patrz, jak pięknie dziś słońce zachodzi; tak, jak w naszych stronach, Niemcewicz, — jak w mych Siechnowicach...

NIEMCEWICZ (z ukrytą myślą). Słonko wszędy jednak pięknie zachodzi, gdy Niebo sprzyja — kiedy jest pogoda.

KOŚCIUSZKO (zadumany). Oj nie, Niemcewicz, nie wszędzie. Nigdzie tak, jak u nas.

NIEMCEWICZ (naturalnie — z ciekawością). Ażaliż tam za oceanem, na wolnej Amerykanów ziemi, słońce pięknie nie zachodzi?

KOŚCIUSZKO (jakby w roztargnieniu). Nie wiem, mój Niemcewicz, nie wiem... (zamysła się).

NIEMCEWICZ (szczerze zdziwiony). Nie wiesz, Naczelniku? Czyliż to podobna, abyś ty, mający

taki sentyment dla wszystkich wsiowych rozkoszy, będący taki czasu kawał na amerykańskiej ziemi — nie widział tam pięknych słońca zachodów?...

KOŚCIUSZKO (cicho — powoli). I tam za morzami, kiedym, po całego dnia pracy, patrzył o przedwieczornej cichej godzinie na pogodne niebo, nie widziałem tamecznego, lecz naszej Polskiej słońce, i tylko polskich pól pachniały mi kwiaty i tylko Polskim smutkiem szumiały mi stare drzewa Ameryki borów...

NIEMCEWICZ (jest przez chwilę pod urokiem słów Naczelnika, później jednak wraca do pięknej rzeczywistości, która i jego poetycką duszę kokysać zaczyna). W istocie piękny, rzadko piękny wiecór... (Patrzy w niebo). Ni jednej, by najmniejszej chmurki na niebie...

KOŚCIUSZKO (jakby zbudzony, mówi, zwracając słowa nie do Niemcewicza, lecz raczej do najtajniejszych zakątków własnej duszy). Chmury może gdzieś już są daleko, choć ich słabe człowiecze nie spostrzega oko. (Głowa mu na piersi opada — dumać zaczyna).

NIEMCEWICZ (ze współczuciem — miękko — nieśmiało). Znów się zasepiasz, Naczelniku?...

KOŚCIUSZKO (cicho). Jak zawsze o słońca zachodzie...

NIEMCEWICZ (mocno). Nie patrz na zachód — nam słońce wschodzić zaczyna!

KOŚCIUSZKO. I ja w to wierzę. Ale, widzisz, gdybym w ręku swoim nawet los jednego miał człowieka, byłbym pełen trosków — żeby go nie skrzywdzić, bym go na słuszną zbawienia wyprowadzić mógł drogę. A cóż dopiero, gdy na głowie, gdy w słabych ludzkich moich rękach dźmierzył bym narodu... Ciężko, ciężko mi, Niemcewicz... (Po chwili jakby się otrząsnął). Już minęło... Ludzkie i narodowe losy od woli zawisły Boga. Człowiek winien tylko mieć czyste sumienie i, służąc dobrej sprawie, — iść ciągle naprzód!..

NIEMCEWICZ (z siłą). Z nadzieją i wiarą.

KOŚCIUSZKO. Tak, Niemcewicz: z wiarą i nadzieją!

NIEMCEWICZ (wskazując na niebo). Patrz, Naczelniku, słońce uśmiecha się ku nam pocziwie i tak dobrze na nas patrzy, jak czuła i szczęśliwa matka. (Wychodzi).

KOŚCIUSZKO (cicho, prawie niedostłyszalnie). Jak oczy Tekluni mojej... (Patrzy wciąż w niebo, jakby nie mogąc oderwać wzroku od swego ostatniego bezchmurnego i pięknego zachodu słońca — przed Szczekocinami. Słońce opuszcza się coraz niżej i niżej; opada głowa coraz bardziej w zadumę i marzenia pogrążonego Naczelnika. Po chwili wstaje, zdejmując czapkę, czyni znak krzyża i zmierza do kościoła).

(Dzwony wciąż wołają na Anioł Pański. Słońce zachodzi).

— Pali się!.. Pożar...
Ewka znieruchomiła.
— Zdaje się, że to w Lipieńcach... — wyteża wzrok Brzeski.
— Czyżby to... oni? — zaniepokojona spytała Brzeska.
— Możliwe. Chociaż przy takim piekielnym wietrze o wypadek zaproszenia ognia łatwo...
— Ojczy, oni idą... Ja to czuję...
Ewka obie ręce przycisnęła do skroni.
— Jezu! Pęknie...
Rozgnioną twarzą przyłgnęła do chłodnej szyby. Ode dworu biegnie środkiem dużego ogrodu szeroka aleja. Graby wyciągniętym sznurem stoją po obu stronach bezlistne, nagie, i giną w oddali, gdzie rozległe zaczynają się łąki.
Ewka wyteża wzrok. Ztamtąd najczęściej przybywają oddziały wojska, skracając sobie drogę.
Na lewo — w pewnej odległości, sterczy szkielet zrujnowanego pałacu. Tynk opadł, dach się zwałił; jak szczeka bez zębów, patrzą okna bez szyb...
W jednym skrzydle tylko ruina nie jest tak widoczna. Ma parę okien oszklonych, dachówkę całą... Tam niegdyś była kaplica.

Latem — bluszcze, bzy wonne i akacje otulają zielenią i kwieciami nagie mury... Teraz — wieje ztamtąd zgnilizną, pustką...

W kaplicy jest jedna szeroka tafla ruchoma w posadzce, o której, prócz Brzeskich, prawie nikt nie wie. Schodów kilkanaście prowadzi w głąb loszku. Gospodarują tam szczury, potworne żaby ślizgają się cielskiem po wilgotnych, oślizgłych murach.

Noc ciemna. Kontury drzew, kontury pałacu zlewają się w jedną, czarną masę. Ewka chciałaby przebić wzrokiem mury... Dusza się w niej szamoce w bezsilności.

Kamińska na śliczne dziewczę żalonymi oczyma patrzy.

— Żeby mi był kto powiedział, że ją na taki smutek ciężki wykołyszę... — szepce, przypominając sobie dziecięce lata Ewki.

Rozgoryczenie znalazło wnet ujście w słowach:

— A nie mówiłam!.. Nie przepowiadałam!.. Wszystko się akuratnie tak zrobiło... Z motyką na

słońce porwały się dzieciaki, i ot co jest... Pan dziedzic uragał, a jednakowoż czyja prawda, jak nie Kamińskiej? Polityka, polityka... Śliczna mi ta polityka... Całe to powstanie nie ma sensu... I pan Stach też rozum miał...

— Nianiu... — od okna zawołała Ewka — on musiał.

— Co to musiał!.. Niechże mu teraz rękę przypawią... Tamta, co ją kula potrzaskała, na chleb nie zarobi.

— Trudno... — cicho załkała Ewka. — Nianiu... Zrób tak, abym nie była na wieczery...

— Ale moja kochaneczko...

— Cicho, nianiu! Ja nie mogę. Tyle wspomnień... Pamiętasz w roku zeszłym? Stach siedział przy mnie i — i...

— Ewuś, no, Ewuś... Nie płacz...

— Nianiu, ja wiem, ja to czuję... Zabiorą mi go... O nianiu, nianiu!..

Owładnęła nią dzika rozpacz.

* * *

Łuna pożaru przygasa z wolna. Wicher przepędził chmury, wyrzucił migotliwe oczy gwiazd. Smolne polana drzewa płoną na kominku brzezińskiego dworu. W pokoju stołowym gwarno, choć niewesoło. Stół obsiedli prócz gospodarza i gospodyni krewniacy, przybyli na święta, kilku bliższych sąsiadów; na szarym końcu domownicy i służba. Ewki niema.

— Że też właśnie dziś ten ból głowy... — usprawiedliwia ją matka. — Położyła się biedaczka...

Hania uśmiechnęła się filuternie.

— Żeby to był pan Stach, toby Ewunię głowa nie bolała... Możeby Ewuni dostał się „migdał”?.. W zeszłym roku to pan Stach był królem migdałowym...

— To ty pamiętasz?... — odzywa się Brzeska, radaby przerwać szczebiot dziewczynki.

— Pamiętam. Tatuś mówił: „No, skoroś królem został, Stachu, to wola twoja we wszystkim...” A pan Stach tatusia w ramię pocałował i powiedział: „Ja tylko jednej rzeczy pragnę i o jedną rzecz proszę...”

— Malec, a jak to pamiętał!.. — uśmiecha się rzewnie Brzeski.

Hania z dumą podnosi główkę.

— Aha! I ja wiem, że ta „rzecz” to była Ewcia. Śmiech jej srebrzysty zadźwięczał jak dzwonek. Ale mu nikt nie zawtórował. Smętna zaduma powlokła twarze wszystkich. Ktoby był przeczuł? kto przewidział?

Brzeski pierwszy się ocknął. Garść siwiejących włosów energicznym ruchem strząsnął z czoła.

— Takie macie miny, jakby wam nieprzyjacieli siedział już na plecach... — usiłuje żartować. — Niechby kto pięścią w okienicę palnął, powiedzielibyście zaraz, że to huk armatni.

Wzdrygnęła się Brzeska.

— Już lepiej nie wywołuj, mój Andrzeju...

W oddali ozwało się zajadłe psów szczenie.
— Oo! — żartuje Brzeski. — Chyba już... ale twarz mu pobladła.

Tętent kopyt końskich stał się wyraźny... Brzeski zrywa się od stołu.

— A no, jadą goście... Siedźże spokojnie... Nie wiadomo tylko, czy nasi, czy też...

BRZOZY ...

*Białe brzozy, westalki dziewicze,
Paciorkami listków zaszumiły,
Zasmuciło się moje oblicze,
A me oczy gorzko zapłakały.*

*Lazur czysty faluje nademną,
Złote pyły na głowę mi prószą,
A głąb serca — jednakowo ciemną,
Ból nieznaną rwie sierocą duszą...*

*Białe brzozy w słonecznej poźłocie
Pochyliły się w cichej żalności:
Zaśpiewały o mojej tęsknocie,
Zadzwonily o mojej miłości.*

EDWARD KOZIKOWSKI.

— Chroń nas Boże!
 — Takaś gościnną... — wciąż wesołego udaje Brzeski.—Ktokolwiekby był, musimy godnie przyjąć...
 — Jedzie spora garstka... Aż ziemia dudni... — zauważył ktoś z gości.
 Brzeski spogląda po obecnych.
 — Wstydzicie się... To was strach pobielili...
 Toż pomyślą, że do trupiarni weszli...
 Brzeska pochyliła się na poręcz krzesła prawie bezwładna. Śmiertelna twoga z oczu jej wyziera.
 — Bo widzisz, Hania... Gdyby pytali... Toż to jeszcze dziecko...
 — Twoja twarz prędzej zdradzi...
 Uścisnął ją.
 — Bóg da, wszystko będzie dobrze...
 Na podwórze wpadło kilkunastu jeźdźców.

— A mnie wyraźnie powiedzieli, co on tu postanowił się...
 — Złe powiedzieli... — uśmiecha się Brzeski.
 — No, no! Wy tak zawsze... U was na języku co innego, a w głowie co innego...
 — Proszę poszukać, panie rotmistrzu.
 — Koniecznie.

Kamińska wnosi półmisek, stary służący kilka omszałych butelek na tacy i kieliszki.

— Pan rotmistrz pozwoli... — zaprasza Brzeska.— Kieliszek wina nie zawadzi...

— Zaprawdę, *madame*... — Kłania się grzecznie rotmistrz.

Zasiedli do stołu. Brzeska drży cała, Brzeski sili się na uprzejmość.

Nieufnem okiem spogląda na obecnych oficer. Dopiero po kilku kieliszkach wina rozgadał się, rozweselił. Spostrzegł śliczną twarzyczkę Hani.

— Ot krasawica!.. U mnie trzy takie... No, nie takie... Brzydkie... — Roześmiał się...

— Słowo daję, brzydkie... U was dużo takich, he?

— Dwie.

— Mało... Hm... — patrzy filuternie w stronę Brzeskiej.

— Wystarczy. Może kompotu?..

— *Merci*. Hm... A gdzie druga?

— Chora.

— Aaa! Tak... A może być ona narzeczonego pilnuje? Co? He?..

Zdumienie, przerażenie unieruchomiło nagle wszystkich. Oficer objął ich bystrem spojrzeniem.

— Zgadłem, co? — śmieje się.

Brzeski wzrusza ramionami.

— Mówiłem, że chora.

— No, a ten buntownik... naręczony... gdzieże on?

— Nie wiem.

— Aha! Wy nie wiecie? A mnie dziś właśnie karczmarsz powiedział...

Wszyscy wstrzymali oddech. Hani szafirowe oczy wpiły się w twarz rotmistrza.

— On mnie opowiedział, że u was schował się ten... ten...

— Pan Stach... — wrywa się nagle Hania.

Cichy jęk Brzeskiej pokrył brzęk stłuczonego półmiska, który, niosąc do kredensu, upuściła Kamińska. Rotmistrz śmiechem się zaniósł.

— Tak, tak! Pan Stach... Ha! ha! ha! Ot, krasawica!..

Wstał i do Hani podszedł:

— Sławna dziewczeczka... Słowo daję. A ty lubisz pana Stacha, co?.. Bohater... Tak?

Hania uśmiecha się do zbladłej twarzy matki.

— Pan Stach będzie Ewcin mąż... — mówi z powagą dojrzałej osoby.

— Tak, tak, wiem... A ty lubisz wojaków, co? Oni tu przyjeżdżają często?

— A przyjeżdżają...

— A dawno tu byli?

Hania milczy. Oczęta jej utonęły w olbrzymim placku, który zaczynała krajać Kamińska.

Rotmistrz zwraca się do Brzeskiego:

— Mnie mówiono, że byli wczoraj...

— Nie! — zaprzecza Brzeski.

— Nie? Toż wy wczoraj broń im dali... — cędzi, świdrując go oczyma.

Brzeski nie odpowiada. Kąsa wargę...

Za oknami dworu, otoczonego ze wszech stron przez żołnierzy, wszczął się hałas. Hania, przymrużywszy z grymasem oczęta, mówi:

— Oni tak zawsze krzyczą, ci żołdaci.

Rotmistrz wybucha śmiechem.

— Tak, tak! Wesoły naród. A ty, gołąbko, wolisz powstańców? Co?

Ale Hanię pochłania już całkowicie pokrajany placek z migdałem.

— Komu się dostanie migdał, to królem będzie... — podśpiewuje dziewczynka, ~~klaszcząc~~ w rączki. Brzeska uprzejmym gestem zaprosiła wszystkich do stołu.

— Próbujmy szczęścia... Hance aż oczęta błyszczą, żeby królową zostać...

— Wcale nie, matusiu...

— Jakto, nie? Ej, żartujesz, maleńka...

Hania potrząsa główką.

— Mamo, jaby wolała, żeby pan oficer... — szepcze do matki.

Ale rotmistrz usłyszał.

— Ja? Ha, ha, ha! Ot gołąbka... No, a czemu tak, he?

JESIEŃ IDZIE.

O konające, smutne, żółte liście

Jesieni przenajcięższe łzy, pełne rozpaczy,

Zwiastujące złych tęsknot nieujętę przyjdzie...

O cichy szumie sadu, szumie niewiadomy

Requiem śpiewający radosnym nadziejom

I tamtych snów weselnych grzebiący ogromy...

O krwawo rozplakane liście winogrodu!

O astry zapomniane w żałości i wstydzie,

O nieskończona pieśni umarłego sadu...

.....

Jesień, jesień idzie...

POLA KOŹNIEWSKA.

Bławatkowe oczęta spoważniały.

— Bo pan oficer musiałby być dobry... Każdy król powinien być dobry...

Rotmistrz zdumiał się.

— Mądrała jaka... No, daję słowo, nie uwierzyłbyś...

Z zajęciem przygląda się ślicznej dziewczeczce. Tymczasem każdy sięga po swój kawałek placka. Mimowoli ozywają się wszyscy.

— Migdał... Migdał!.. — wykrzykuje nagle rozpromieniona Hania.

— Pokłon królowej... — żartuje Brzeski.

Otoczyli wszyscy Hanke. Oficer kłania się jej z powagą. Ale myśl Hani pracuje. W oczach ma wyraz ogromnego skupienia. Po chwili mówi:

— Królowa chce mieć swoich dworzan i swojego adjutanta. I wolno jej robić wszystko, co chce... Prawda, tatusiu?

— Tak, dziecino...

— I wolno mi także chcieć jakiejś „rzeczy“, bo ja pamiętam, jak w zeszłym roku pan Stach...

— Wolno, wolno... — przerywa Brzeski, tłumiąc dreszcz trwogi, gdy znów imię Stacha padło.

Hania uśmiecha się figlarnie.

— A ja najprzód chcę dwóch rzeczy, a potem będę chciała jeszcze więcej...

— Jakież to te dwie „rzeczy“?

Hania z powagą zwraca się do gościa:

— Pan oficer będzie moim adjutantem. Pan oficer każe żołnierzom pójść do kuchni ogrzać się, bo na dworze bardzo zimno...

— Co? Co? No, ja nie spodziewał się... Ci sołdaci, co to zawsze krzyczą.

— A tak. Ale im zimno... Królowa chce, aby dziś wszystkim było ciepło...

— Doprawdy, nie widziałem jeszcze takiego dziecka... — mówi już całkiem udobruchany.

— No więc? — nalega Hania.

— No, cóż, niech idą... Ale — zwrócił się do Brzeskiego: — Dajcie słowo, że z tego domu on nie ujdzie... Ja wiem, że on tu jest... Tylko, widzicie, nie chciałem wam tak odrazu...

Brzeski zawahał się.

— Z tego domu — rzekł z naciskiem po chwili — nie wyjdzie... Daję na to słowo...

* * *

Przez ogród pusty i ciemny biegnie Ewka, le-dwie dotykając ziemi. Płygnie z wichrem, jak ptak wielki o szerokich skrzydłach, strachem gnany. Zziębłemi rękoma trzyma koszyk, otulając go ciepłą chustką. Kiedy się przekrada między drzewami i o brunatno-złotawą kosę zaczepi gałąź, nie zatrzymuje się, jedwabiste pasma włosów zostawiając na drzewie. Myśli, jak furje, lecą z nią razem.

— O Stachu! Stachu! — Krzyk ten wydziera jej się z piersi prawie gwałtem. Straszny krzyk bólu, trwogi... Jej Stach!

Ale go sobie zabrać nie pozwoli. O nie! Choć-by przyszło dać życie za życie...

Potknęła się o kupę gruzów... o wystający gzyms uderzyła czołem... Kilka krwi kropel... O, to nie boli... Byłe prędzej.

Po kamiennych schodach zsuwa się w głąb... Ciszą grobu... Chłód... Ciemność... Tam — w tym grobie — jej Stach!

Jeszcze chwila... Śmiało popycha drzwi... Błede światło lampki rzuca mdły, żółtawy odblask na wiązkę siana, okrytą kobiercem. Na skórzanej poduszce jasna głowa i twarz błada. Oczy ciemne, tęskne ogniem gorączki się palą.

— To ja — szepce Ewka, klękając.

Chłodne ręce pieścizotliwym ruchem kładzie na jasnej głowie, na twarzy bladej. Stach przymyka oczy.

— Dobra... — szepce sennie — kochana...

Ewka przy nim odzyskuje energję i siłę.

Długą chwilę milczą. Zaden odgłos ze świata nie ma ci ciszy. Nagle Ewka przytomnieje. Nie ma czasu do stracenia. Trzeba działać. Nim żołnierze zjedzą wieczerę i Hania szczebiotem swoim przestanie bawić rotmistrza, Stach musi być daleko.

Spogląda z rozpaczą na jego bladą twarz. Loch ten ponury wydaje jej się teraz cudnym, jak w bajce, pałacem, gdzie opiekuńcze bóstwa czuwają nad jej skarbem. Bezwiednie z uciśnionej piersi wybiegają słowa:

— Jak słodko byłoby umrzeć teraz razem...

Oczy Stacha błysnęły.

— A ja wolałbym żyć z tobą... — namiętnie szepnęła.

Przycięła wargę zębami, aby nie jęknąć i z całą odwagą rozpaczy mówi:

— Stachu, trzeba nam stąd iść...

W jednej chwili zerwał się i siadł na posłaniu. Ból go chwycił, jęknął z cicha. Podparła go ramieniem.

— Boli? Widzisz, jakiś ty nieostrożny...

— Dlaczego mówisz, że trzeba iść?..

— Ktoś zdradził...

— I?

— Już są we dworze...

— A!..

Łzy napełniły jej oczy.

— Dotychczas Hania ratuje nas... Idąc, opowiem ci wszystko, ale teraz, Stachu, śpieszmy się... Oni mogą łada chwila... — Zarzuciła mu futro na ramiona.

— Przeprowadzę cię do starego Macieja... On nie zdradzi. Ale kawał drogi przed nami, Stachu... Czy znajdziesz dość siły?

— Trzeba.

Lewą, zdrową ręką objął ją i do piersi przycisnął.

— Czy na życie, czy na śmierć, zawsze razem. Prawda, Ewko? To egoizm... Przebacz... Nie mogę wyrzec się ciebie...

Poszukał jej ust. I w długim, długim pocałunku trwali.

Wtem — na górze, nad ich głowami szelest jakiś... Ktoś biegnie po schodach... otwiera drzwi...

W świetle lampy uśmiecha się śliczna twarzyczka Hani.

— Przyniosłam panu Stachowi swój placek z migdałem... — szczebioce szybko. — Czy pan Stach wie, że ja byłam dziś królową?

— Haniu, jak mogłaś? Gdyby cię który z żołnierzy spostrzegł...

Roześmiała się.

— Już ich niema.

* * *

*Jesieni chore południe,
Chryzantem bieli się krzew,
Tak cicho w parku i cudnie,
Liść tylko opada z drzew.
Spadają liście, spadają,
W alei piaszczysty pył,
I szklanym dźwiękiem żegnają*

*Sen lata, który się śnił...
W południe chore jesieni
Sen lata żegnam i ja—
W złocistej smudze promieni
Jak opał mieni się łą.
Spadając, cicho szeleści liść:
Już musisz iść...*

JAN SOKOLICZ-WROCZYŃSKI.



TADEUSZ KOŚCIUSZKO - U SIEBIE

* * *

*Moja świątynia to park mroczny, cichy,
Kędy cień dają kasztanów konary,
Kędy nad wodą rosną nenujary
I smukłych lilij srebrzą się kielichy.*

*Tak cicho płyną wód przepastne tonie,
Ze liście kiedy ścielą się pod nogi
Słychać na piasku wijącej się drogi,
Co krwawozłotym blaskiem od nich płonie.*

*Jak słodko marzyć u mrocznych zaciszy,
W chłodzie kościelnym, gdzie zamiast muzyki
Tęsknie zawodzą nocami słowiki,
Gdzie mnie nie widzi nikt, nikt nie usłyszy...*

MICHALINA MAKOWIECKA.

JÓZEF KARPIŃSKI.

RÓŻNICE.

(Fragmenty z noweli „Ludzie”, odzn. na konkursie „Echa Pragi”).

I. LILI.

Śmieje się.

Oto zaczął swój śpiew słowik i śpiew ten splótł się z jej śmiechem srebrzystym. Słońce rozsunęło na ziemi najcudniejsze barwy; złoto promieni igra z karminem jej ust, błękitem oczu i bielą cery.

Śmieje się szczerze, rozlewnie, prawie rubasznie. Rozchyła w uśmiechu purpurowe, wilgotne wargi i mruży oczy. Ciemnieją wtedy szafiry jej oczu, od rzęs pada cień, gaśnie spojrzenie. Później słońce subtelnym dotknięciem promieni budzi oczy: znów jest błękit jasn i złotolśniące refleksy.

Uśmiecha się łagodnie, dyskretnie. Patrzy mi w oczy — swawolna, pogodna i beztraska.

— Lili, słyszałem wczoraj dziwną opowieść...

Powtórzyłem jej w ogólnikach moją rozmowę wczorajszą z pewnym starcem pielgrzymem, który powrócił właśnie z wygnania i ostro krytykował „nowe pokolenie”. Słuchała uważnie. Kiedy skończyłem, spoważniała, jakby przejęta tym, co jej opowiedziałem.

I nagle zauważyłem, że jej błękitno-złote oczy śmieją się; drgnęły lekko usta karminowe, wreszcie śmiech rozbajający, dobroduszny, swobodny rzuciła mi prosto w twarz.

— Czy to warto?

— Lili, mówić tak nie można?..

— Trzeba mówić tak, jak się myśli, mój panie.

Dla czego nie mam być szczerą. Mówię; nie warto. Proszę spojrzeć: jaki dziś dzień pogodny, jasny, radosny. To jeden z dni ludzkiego życia. Życie trzeba sobie stwarzać takie, jak ten cudny letni dzień. Niech żyje epikureizm!

Tu „epikurejka” roześmiała się tak czarująco, że wydał mi się ten uśmiech piękniejszym od najszytniejszych, a mozołnych „bojowań”. Jakże to ona powiedziała? Ach, „czy to warto?” Kapitalna dziewczyna.

— Złapałam raz motyla i przyglądałam się jego oczom: były zdziwione, wylękle i takie smutne... Nie lubię smutnych oczu. Mój chłopak miał takie, a podobne i pan ma...

— Lili, „chłopak twój” może czeka na ciebie, naprawdę smutny i stęskniony.

— Ha, ha, nie doczeka się. Znudził mi się. Jutro wyruszam w świat i — nie „zapłacę po nim” jak to się śpiewa w jakiejś piosence. Dzieciak; był mnie ogromnie pewien, ha, ha, ha! Powinien był jeszcze pić gorące mleczko i grywać w palanta na łączce.

— Lili jest zła.

— Oh, a może i pan po-e-ta i dla tego pan go broni. Jeśli tak, to proszę mi coś opowiedzieć „pięknym stylem”, dobrze?

— Dobrze. Może bajkę? posłuchaj, Lili: Dziewczynka wesoła złowiła motyla i przyglądała się jego oczom. Nie zauważyła, że w nich odbiły się jej własne oczęta i że na te właśnie — patrzyła. Motyl wyfrunął z jej rączek i uciekł. Ale świat teraz zdawał się mu być inny, niż poprzednio, albowiem patrzył na nich oczyma człowieka: nie wiedział, że dziewczę urzekło go swym wzrokiem... Błąkał się motyl nad polami wśród kwiatów i traw, wylatywał w górę, jak-

by chciał rozejrzeć się, gdzie się znajduje, ale widział tylko wielki szmat ziemi. Szukał wzrokiem, skradzionym dziewczynce, krain szczęśliwych, słonecznych, tchnących weselem i beztraską, ale widział tylko szarą bezbarwną ziemię bez traw i kwiatów. Leciał dalej. Wtem dojrzał kogoś. Człowiek bosy, w szarej odzieży, klęczał na roli i modlił się. Płachtę, pełną ziarna, przewieszoną miał przez ramię. Przed nim kilka świec, wetkniętych w ziemię na krzyż, zapalonych; obok na białej chuście — garść ziarna i bochen pszennego chleba. Człowiek skończył modlitwę, wstał, przeżegnał się i poszedł przez rolę, krocząc równie i pewnie. Sięgał co chwila do płachty i rzucał w rozoraną ziemię pełne garście ziarna. Zaczynał siew. Dzień był pochmurny i smutny, ale serce chłopca rozpieła radość i nadzieja grała w nim pieśń słoneczną. A motyl, który takiej radości szukał, nie wiedział, co się w duszy chłopskiej dzieje. Pofrunął dalej. Właśnie z za chmur wyjrzało słońce i legło w strumieniu, zapalając na wodzie tysiąc lśnień i blasków. Motyl tam się skierował...

— No i cóż — dopytywała Lili.

— Nieopatrny był, utonął...

Słuchała z zajęciem. Teraz przechyliła główkę figlarnie i mówi powoli:

— Aluzja może trochę słuszna, ale ja — do strumyka nie wpadnę.

— Lili będzie ostrożna, prawda?

— Tak, — będzie fruwać tylko w ogrodach takich, gdzie znajdzie dużo wspaniałych kwiatów, a nie zobaczy zdradnego strumienia...

Śmieje się.

2. ANTEK GRUDA.

Uchyliłem drzwi.

W izbie niewielkiej było kilka osób z sąsiedzkich chat we wsi. Usunęli się ku ścianom, gdy wszedłem, i zobaczyłem wtedy trupa: na zdartym, skórzanym tapczanie leżał z beładnie rozrzuconemi rękoma. Na zamkniętych powiekach zobaczyłem dwa miedziaki, które jedna z obecnych tu bab-kumoszek, jak mówi, wygrzebała z wężełka i nakryła niemi oczy samobójcy, żeby „nie patrzyły po śmierci”. Na stole, przypartym jedną stroną do okna, leżał rewolwer i list, adresowany do mnie.

Poprosiłem, żeby mnie zostawiono samego; wszyscy wyszli.

Rozerwałem kopertę i czytam:

„Kochany panie.

„Miał pan rację, — żyć nie umiałem. Moja Lili śliczna odeszła... Jestem sam... Wiem, że nikogo śmierć moja nie zasmuci, dla tego odchodzę spokojny...”

Na stole spostrzegam kilka zaczętych szkiców ołówkowych, jakieś zapisane kartki i niewielki zeszyt. Na pierwszej stronie — tytuł: „O sobie”, niżej małemi literkami „dla mojej Lili” później widocznie przekreślone; — następowało kilka stron pokrytych ładnym, czytelnym pismem. Czytałem:

„Z idei swoich zbudował chram złoty. Kiedy wchodził doń, oczy aż mrużył, bo wewnątrz pełne było blasków.

„Szedł przez życie z siłą żywiołową, prawie że naoslep. Był młody. Wiosnę życia przeżyć pragnął jak dzień jeden jasny i pogodny.

„W takim pędzie gwałtownym niekiedy tracił z pod stóp drogę równą. Raniły go ostre kamienie ludzkiej nienawiści, snadź umyślnie rozrzucone obficie na ścieżki najprostsze i najpiękniejsze.

„Czasem nęciła go świeżość i miękość łąki, co się rozpostarła w obie strony, jak skrzydła olbrzymiego ptaka, ciemnozielone, łyskliwe od kwiatów i pocałunków słońca. Dalej od drogi łąka była jeszcze piękniejsza. Tu — stopy plątały się w wysokiej trawie i zapadały w mięką, ustępliwą ziemię. Był to już brzeg zdradnego grzędzawiska, pokrytego zwierzchu pysznym, mającym kożuchem traw i mchów.

„Kiedy nieopatrznie zbiegał na tę łąkę, opamiętywał się wtedy dopiero, — gdy ociężały nogi więzły w ziemi. A kędy — ż droga dawna? Oglądał się: szeroko ciemniejsze łąka, tu i owdzie majaczy rudostalowa powierzchnia stawu. Łąka *Złudzeń*.

„Wtedy biegł myślą do swej świątyni. Fałd obejmowały go wspomnienia. Życie minione: jasne dni i świty żywe i radosne, dobre twarze dookoła i serca z kryształu.

„Biegł na dawną drogę.

„Daleko przed nim, skroś mgłę oddalenia, jaśnieją ściany jego świątyni, błyszczą w słońcu jak złoty szlachetnego kruszcu. Świątynia *Aspiracji*.

„Porwał się w pędzie szalonym. Dopadł już drzwi dębowych: szarpnął. Otworzyły się leniwie.

„W tej chwili doznał jakby lęku. Wejść? Zawahał się. Owładnęło nim dziwne uczucie. Lęk i ciekawość razem, trwoga i oczekiwanie czegoś nieznanego, oczekiwanie dziwne, a jednocześnie obawa, czy ta odurzająca słodycz i rozkosz niekryje za sobą — pustki?

„Gdy jest wewnątrz świątyni, zdaje się mu, że dusza jego oddzieliła się od ciała, dostaje skrzydeł i unosi się w górę, zapatrzona w słońce. Stamtąd, gdy w dół spojrzy, widzi życie milionów ludzi i wszyscy mają twarze ku ziemi schylone, a ramiona i barki wyprężone w wysiłku.

„Wszedł. Od miejsca najświętszego dzieli go jeszcze ciężka zasłona. Zawieszona wysoko u stropu, opada w głębokich fałdach na mozaikową posadzkę.

„Lęk nim owładnął powtórny.

„Nagle uniósł ręce i junackim ruchem rozrzucił zasłonę na dwie strony, — zajaśniał przed nim ołtarz pożogą światła i łśnień.

„Z góry, przez krąg, wyrżnięty w sklepieniu, spływały promienie słoneczne, jak włókna złotego lnu.

„Długo stał z rozpostartymi ramionami i oczyma wpatrzonemi w niebo.

„Nagle spostrzegł zbliżanie się burzy. Poprzez subtelną melodię ciszy i promieni doszedł go szelest wiatru i daleki pogwar grzmotów.

„Światło, wypełniające świątynię, stężało i stało się zimne. Na marmurowych ścianach kładły się rude i ołowiane odcienie.

„Wtedy zatrwożył się. Grzmoty zbliżały się. Gdy łomot echa przewalał się po ścianach świątyni, zdawało się, że ciężkie, kamienne mury drżą w posadach.

„Upadł twarzą na posadzkę i, korząc się, szeptać jął modlitwę. W świątyni, którą zbudował dla swoich bogów, w chwili trwogi śmiertelnej modlił się do „Boga Wszechmogącego, stwórcy nieba i ziemi“.

„Kiedy podniósł oczy, mrok rdzawo-popielaty wypełniał wnętrze.

„Wtem ściany rozbrzysły oslepiającym światłem, huknął piorun!

„Uczuł na oczach jakby mocne chlaśnięcie batogiem. Zerwał się oslepiiony, — dopadł drzwi i wybiegł.

„Wicher świszczał mu w uszach djabelskim chichotem. Błyskawice oświetlały drogę. Strach wpił się mu w kark i parł naprzód z siłą szaloną.

„Biegł tak aż do zupełnego zmęczenia. Wtedy zaczął iść krokiem ciężkim, powolnym.

„Burza mijiała.

„Obejrzał się. W miejscu, gdzie stała świątynia, rysowały się poszarpane kontury złomów i rumowisk.

„Szedł pełen trwożnego smutku. Na oczach czuł jeszcze krwawą, oslepiającą pręgę piorunu.

„Uczuł nagle, że stopy jego więzną w trawach i błocie. Rozejrzał się: dookoła niego — miliony ludzi. Do wielkiego roju pszczoł podobni, błędzą po łące w poszukiwaniu dobrej drogi. Potaczają się ze zmęczenia i co chwila zapadają w grzązką ziemię.

„Poznał — łąkę *Złudzeń*.

„Wtedy zerwał się w nim z głębi duszy wielki głos: „Hej, — ludzie! Nie tędy droga, wracajmy!“ Poczuli w sobie siłę młodzieńczą. Zawrócił i szedł ku wielkiej drodze, za nim podążało echo jego nawoływań: „Wracajmy! — wracajmy!!“

„Wkrótce zarysował się przed jego oczyma pierwszy słup drogowy i napis na nim: „Droga *Obowiązku*“.

Oto jest życie. Samobójca.

Była chwila przedmierzchu. Słońce smugą złotą wpłynęło przez okno i po stole ześlizgnęło się na podłogę; a potem — świetlistymi rękoma objęło trupa i legło mu na piersi, — złote palce promieni dotknęły miedzianych krążków na oczach.

Wychodząc, w sieni natknąłem się na kogoś. Zobaczyłem najpierw szarą świtkę na plecach zgiętych w kabłąk i płową głowę, pochyloną nad książką.

Zatrzymałem się chwilę, żeby nie przeszkodzić niezwyktemu czytelnikowi.

Teraz chłopak uniósł głowę i wyprężył ramiona. — Psiakrew! — syknął przez zęby i grzmotnął pięścią w otwartą książkę.



MERECZOWSZCZYNA, MIEJSCE URODZENIA TADEUSZA KOŚCIUSZKI.

Potem książkę schował w zanadrze i obejrzał się odruchowo.

Zobaczył mnie; z po-
dełba spojrzął nieufnie, —
szybko wzrok odwrócił
i chciał odéjść.

— Chłopcze.

Zatrzymał się i czekał.

— Tutejszy jesteś?

— Tak, jestem Antek
Gruda, syn chłopski.

— Nie widziałeś? był
tu kto u samobójcy?

— Niby u tego co
się zastrzelił?

— Tak.

— Byli — jakiś pan
młody i panna; popatrzili
i poszli. Pannica się śmia-
ła — psiakość.

— Znałeś go?..

— Tak, trochę. Młody,
a dziwak. Ciężem był
smutny, a to, panie, kiepsko
się żyje...

— A jak, myślisz,
trzeba żyć?

— Trzeba, myślę, mieć mocne pięści i posta-
nowienie mocne. Jak strapienie jakie zwali się na
człeka, to wziąć się z nim za bary jak ze złym zbó-
jem, zgnać do ziemi i jeszcze obcasem w zęby grzmotnąć!

Słusznie mówił. Ten, co tam leży na tapczanie
mógł być od Antka Grudy uczyć się sztuki życia.

— A możesz mi pokazać książkę, coś ją czytał
niedawno?

Antek nierad był, że widziałem go z książką,
dostrzegłem to w jego oczach. Może czytywał po-
kryjomu, wykradając na to chwile z czasu pracy koło
gospodarstwa i roli. Ale snadź we mnie wyczuł przy-
jaciela, bo sięgnął za pazuchę i śmiało podał mi
książkę.

JOHN KEATS (1795 — 1821).

KOŚCIUSZKO.

(Sonet).

*Sława imienia Twego aż do nas dolata,
A dźwięk jego tak wzniosły jest i tak wspaniały
iż napętnia odgłosem swoim wszechświat cały,
brzmi wszędzie i brzmieć będzie po tysiączne lata...*

*Imiona bohaterów z nadziemskiego świata
spadają gromem... Bóg je zamienia w pieśń chwwały
ażebym potomności zdumionej śpiewały
o wawrzynie, co skronie wybrańców oplata...*

*I z Twojego imienia w ów dzień upragniony
gdy dobro zapanuje, kiedy fałsz zaginie
powstanie pieśń dźwięcząca natchnionymi tonami
i nieśmiertelnym hymnem w błękitny popłynię...
Pieśni tej słuchać będzie Wszechświat zachwycony
i Wielki Bóg w niebiosów słonecznej krainie.*

Z angielskiego przełożył
JULJAN EJSMOND.

Była to „Historja
Polski“.

Patrzyły na mnie jego
niebieskie — mądre oczy,
a była w nich zaciętość,
upór i krzepka, nieustępli-
wa siła.

— Możesz mi ją zo-
stawić? Jutro przyjdiesz
do mnie, to odbierzesz,
dobrze?

Bąknął coś na zgodę
swoją, kiwnął głową i po-
szedł w głąb wsi.

Z książką Antkową
poszedłem do domu. Tu,
przeczuciwszy kilka stronic,
czytałem:

„... Połączona z Litwą
brała pod opiekę Inflanty
i tę opiekę rozciągała do
krain Dunaju, Donu i Fin-
landyi; władzcy iey przez
roztropność i prawość
w rządach jednali sobie
sławę, tak, iż narody od
Elby, Laponii, Adrii i Rhe-

nu dopraszały się z iey łona o Królów...“

a później:

„... Szedł Polak w odległe strony dobijać się
bytu narodowego, broczył krwią własną obce ziemie...“

Stronica ta była zmięta od uderzenia pięści
Antka Grudy.

Zrozumiałem teraz. Ten „chłopski syn“ jak sam
się nazwał, snadź dobrze pojął tragedję ojczyzny.

Żywo stanęła mi w pamięci jego młoda postać
i zaciętość w oczach i w głosie gdy mówił:

— Trzeba, myślę, mieć pięści mocne i mocne
postanowienie!

Magazyn Miod S. Magnquie 27 Nowy-Swiat 27.

5-cio KLASOWA LOTERJA Tow. DOBROCZYNNOŚCI, WARSZAWA.

Główne wygrane: Mk. 200,000 — 150,000 — 100,000,

2 po 50,000 — 5 po 25,000 — 1-a 15,000 — 9 po 10,000 — 13 po 5,000

i wiele innych na ogólną sumę Mk. 2,295,000.

Cena losu do każdej klasy: $\frac{1}{1}$ Mk. 20, $\frac{1}{2}$ Mk. 10, $\frac{1}{4}$ Mk. 5, $\frac{1}{8}$ Mk. 2.50.

ZARZĄD: WARSZAWA, ul. DŁUGA № 50, PASSAŻ SIMONSA.

Główna Kolekta: B-cia ALTER, ul. Twarda № 21.

TARNOWSKI i TOMASZEWSKI

MARSZAŁKOWSKA № 133, RÓG Ś-to KRZYSKIEJ.

WEŁNY	WELWETY	PŁÓTNA	BIELIZNA { damska stołowa
SUKNA	ETAMINY	CHIFFONY	KOŁDRY
JEDWABIE	HAFTY	NANSUKI	PRZEŚCIERADŁA
PLUSZE	BATYSTY	CHUSTECZKI	POŃCZOCHY
AKSAMITY	MUŚLINY	RĘCZNIKI	KAPY { koronkowe i pilkowe

Wyprawy od Mk. 650 do 20,000.

POLONIA-PALACE-HOTEL

Warszawa, Aleje Jerozolimskie 53,
wprost Dworca Wiedeńskiego.
Adr. teleg. Polonia—Warszawa.

HOTEL wykwalifikowany. Apartamenty pojedyncze i podwójne ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami. W każdym pokoju ciepła i zimna woda, telefon, zegar elektryczny. Centralne ogrzewanie, dźwigi, sygnalizacja elektryczna zamiast dzwonek. Absolutna cisza.

PIWNICE WIN zaopatrzone w wielki wybór win i trunków najlepszych marek. Sprzedaż hurtowa i detaliczna, w nowym sklepie wewnątrz gmachu.

RESTAURACJA pierwszego rzędu. Kuchnia pod kierunkiem wykwalifikowanych kucharzy. Eleganckie gabinety. Codziennie wielki koncert.

KAWIARNIA z przepychem urządzona, napoje gorące i zimne w wielkim wyborze, potrawy zimne i gorące à la carte, wyborne ciastka, piwa krajowe i zagraniczne. Wielki wybór win, koniaków i likierów z piwnic POLONIA - PALACE - HOTEL. Codziennie koncert. Bilardy, domino.

FRYZJER i PERFUMERJA. Salon damski i męski. Fryzury podług najmodniejszych wzorów. Farbowanie włosów na różne odcienie nieszkodliwą farbą roślinną, postiches artystyczne. Manicure. Najmodniejsze perfumy znanych firm wszechświatowych.

PRALNIA MECHANICZNA zaopatrzona w najnowsze maszyny pralnicze i przyrządy mechaniczne. Pranie bielizny wszelkiego rodzaju bez użycia chlorku, na żądanie w ciągu kilku godzin. Odprasowywanie ubrań. Naprawy bielizny. Kantor główny: ul. Wielka 56, gmach POLONIA-PALACE-HOTEL. Filja ul. Czysza 1 (Hotel Europejski).



Skład hurtowy i detaliczny
wszelkich artykułów do oświetlenia gazowego, elektrycznego, spirytusowego i naftowo-żarowego.

Fabryka Koszulek Żarowych.
Hugon Fried WARSZAWA,
ul. Moniuszki № 4.

TOWARZYSTWO

„ZAKUP”

WARSZAWA,

TŁOMACKIE № 6, M. 10.

PIWOWARNIA PAROWA SEWERYNA JUNGA

Plac Trzech Krzyży № 8

poleca piwo bawarskie i pilzeńskie.

MLECZARNIA TEATRALNA

w Warszawie, ul. Wierzbowa № 7,
(wprost teatrów).

Wyśmienite śniadania, podwieczorki, kolacje. Sala z komfortem urządzona. Wybór pism krajowych i zagranicznych. Wygodna komunikacja tramwajowa do wszystkich krańców miasta.

Kto
to
jest?



Ch. Szyller-Szkolnik

naukowo określa ważniejsze zdania życia, charakter, zalety, wady, odpowiada na zamyślane pytania. Ch. Szyller-Szkolnik jest autor, uznanych krytyką i czytelników utworów naukowych.

Ch. Szyller-Szkolnik przyjmuje od rana do wieczora.

Piękna 25-12, róg Marszałkowskiej.

ZELÓWKI SKÓRZANE

Specjalnie sklejane, nieprzemakalne i rzeczywiście trwałe.

CENY MOŻLIWIE NIZKIE.

ZELOWNIA OBUWIA

JANA GATKOWSKIEGO

ul. Sienna № 9, róg Wielkiej.

Spółka Akwizytorów Chrześcijan

KRÓLESTWA POLSKIEGO,

Warszawa, Boduena № 4.

(Hurt i detal).

Dostarcza artykuły każdej gałęzi przemysłu i handlu oraz pośredniczy przy ich nabywaniu i sprzedaży. Posiada składy, stale zaopatrzone w artykuły pierwszej potrzeby. Ekspedjuje towary kolejami. Załatwia wszelkie formalności wywozowe.

Solidnie i szybko obsługuje.

CENY NIZKIE.

Z N A N A

Mleczarnia „CENTRALNA”

w Warszawie, ul. Wierzbowa № 11,

PROWADZONA WZOROWO

POLECA:

ŚWIEŻE I ZDROWE POTRAWY.

SKŁAD

FORTEPIANÓW i PIANIN

znanych fabryk zagranicznych i krajowych

RIEGERT i GINTER



Warszawa, Jasna 6, tel. 308-16.

Sprzedaż—Wynajem.

Wyłączna sprzedaż na Królestwo Polskie Fortepianów i Pianin fabryki

C. BECHSTEIN.

LOS Y

TOW. KULTURALNO-OŚWIAT.

jak również wszelkie krajowe i zagraniczne sprzedaje

KANTOR BANKIERSKI

J. MACHONBAUM

117 MARSZAŁKOWSKA 117.

APTEKA HOMEOPATYCZNA

TOWARZYSTWA

ZWOLENNIKÓW HOMEOPATYI

W WARSZAWIE, — NOWY-ŚWIAT 16.

Wysyła lekarstwa pocztą do obu okupacji.



ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE
Karol Michler

W WARSZAWIE ↗ Telefon 7-73. ↖ W OLSKA № 40

Młyn Parowy, Piekarnie Parowe i Fabryki Makaronów.

SAPINOL

Apt. J. BOBAKOWSKIEGO,

— D A J E —

PRAWDZIWIE WZMACNIAJĄCE SOSNOWO-
BALSAMICZNE KĄPIELE.

FLAKON NA 3—4 KĄPIELE.

Żądać wszędzie.

Gimnazjum 3-go maja.

8-io kl. szkoła męska filologiczna

pod kierunkiem

A. CHMIEŁOWSKIEGO

w WARSZAWIE

ul. Żórawia № 49.

1-e Gimnazjum Polskie.

8-io kl. szkoła męska filologiczna

w Częstochowie, Teatralna 7.

DYREKTOR

GUSTAW KOŚMIŃSKI.

Café-Restaurant

„Louvre“

Nowy Świat № 51,

róg Wareckiej.

I. SKWARA

Marszałkowska № 122

I-sze PIĘTRO FRONT.

POLECA!!!

Garnitury

Marynarkowe, sportowe
i skautoskie.

Palta

jesienne, zimowe, kurtki na
wacie, Bekiesze i Futra.

OKRYCIA, KOSTJUMY DAMSKIE,
KONFEKCJA FUTRZANA.

WARSZAWSKI SYNDYKAT ROLNICZY

K O P E R N I K A № 30

ORGANIZUJE HANDEL PRODUKTAMI WSI:

Rybami, Zwierzyną, Drobiem, Jajami, Owocami, Warzywami, Masłem, Serem, Miodem

ZBLIŻA WYTWÓRCĘ DO SPRZEDAWCY, USUWA ZBYTECZNE POŚREDNICTWO, PŁACI NAJLEPIEJ SPRZEDAJE NAJTANIEJ.

KAPITAŁ WŁASNY — MILJON MAREK.

8% DYWIDENDY ZA LATA 1914, 1915, 1916.

□□□□□□□□ POWIĘKSZENIE UDZIAŁU — NAJLEPSZA LOKATA. □□□□□□□□

T E A T R

Variete Aquarium

CHMIELNA № 9.

Atrakcje KABARETOWE

zmiana programu co 15 dni!

Kuchnia wyborowa. Wina odleżale.

Hotel EUROPEJSKI

w WARSZAWIE

Nowoczesny komfort, Restauracja

— i piwnice —

Ceny przystępne.

PIERWSZA SZKOŁA LEKARSKO - DENTYSTYCZNA

Istniejąca od 1897 r.

Lekarza - Dentysty **Ludwika Szymańskiego**

w WARSZAWIE, Marszałkowska 151

dawniej NOWO-MIODOWA 1.

Nagrodzona na wystawie hygienicznej medalem.

PRZYJMUJE NOWO-WSTĘPUJĄCYCH

z 6-cio klasowym wykształceniem.

Wiadomość i program w kancelarii szkoły

bezpłatnie.

Wyższa Realna VIII kl. szkoła

K. NAWROCKIEGO

MARSZAŁKOWSKA 151

ZAWIADAMIA

SZ. RODZICÓW i OPIEKUNÓW iż w klasie podwstępnej i wstępnej są MIEJSCA

WOLNE.

ZAKŁADY DRUKARSKIE

p. f. **EMIL SZYLLER**

Tamka 46 (dom własny).

Wykonywają wszystkie roboty, wchodzące w zakres drukarstwa.

MAGAZYN
UBIORÓW MĘZKICH

St. Prosiński

Ś-to Krzyska 25, róg Mazowieckiej.
KRÓJ WYKWINTNY, OSTATNIE ŻÓRNALE,
CENY UMIARKOWANE.

Poleca: BEKIESZE, BRYCZESY i GARNITURY SPORTOWE.

P.II-586
1917

LOTERIA KLASYCZNA R.G.O.

(RADY GŁÓWNEJ OPIEKUNCZEJ).
ZARZĄD: WARSZAWA, UL. KREDYTOWA № 4.



P L A N
2^{ta} LOTERJI KLASYCZNEJ RADY GŁÓWNEJ OPIEKUNCZEJ.
WARSZAWA · KREDYTOWA · № 4 ·
42 000 NUMERÓW, NA KTÓRE PADAWY SIĘ KLASAMI
21 000 WYGRANYCH I 1^{NA} PREMJA.
CENA CAŁEGO LOSU WRAZ Z KOSZTAMI WYBRI W KAŻDEJ KLASIE 32 mk.

I Klasa	II Klasa	V Klasa
Clagale 10 i 17 sierpnia 1917 r.	Clagale 14 i 16 września 1917 r.	Clagale 10, 11, 12, 13, 14, 15, 17, 18, 20, 21 i 22 grudnia 1917 r.
1 wygrana mk. 30 000 1 " 15 000 1 " 10 000 1 " 5 000 2 wygr. po 1 000 mk. 8 000 4 " 2 000 " 8 000 10 " 1 500 " 15 000 20 " 700 " 14 000 30 " 500 " 15 000 40 " 350 " 20 000 1930 " 50 " 150 000 2100 wygr. mk. 286 000	1 wygrana mk. 35 000 1 " 15 000 1 " 10 000 1 " 8 000 2 wygr. po 1 000 mk. 8 000 4 " 2 000 " 8 000 10 " 1 500 " 15 000 20 " 700 " 11 000 30 " 500 " 15 000 40 " 350 " 20 000 1930 " 120 " 231 000 2100 wygr. mk. 382 000	Największa wygrana w szczęśliwym wypadku 350 000 PREMJA. Premja mk 100 000 1 wygrana .. 250 000 1 " 100 000 1 " 75 000 1 " 40 000 2 wygr. po 10 000 mk. 20 000 3 " 3 000 " 15 000 10 " 1 000 " 10 000 20 " 500 " 60 000 30 " 200 " 60 000 50 " 150 " 35 000 100 " 100 " 126 000 200 " 50 " 100 000 1000 " 350 " 110 000 11300 " 200 " 2340 000 12 600 wygr. mk. 3 561 000

III Klasa	IV Klasa
Clagale 12 i 13 października 1917 r.	Clagale 12 i 13 listopada 1917 r.
1 wygrana mk. 40 000 1 " 20 000 1 " 15 000 1 " 10 000 2 wygr. po 1 000 mk. 8 000 4 " 2 000 " 8 000 10 " 1 500 " 15 000 20 " 700 " 14 000 30 " 500 " 15 000 40 " 350 " 20 000 1930 " 100 " 312 000 2100 wygr. mk. 435 000	1 wygrana mk. 45 000 1 " 20 000 1 " 15 000 1 " 10 000 2 wygr. po 1 000 mk. 8 000 4 " 2 000 " 8 000 10 " 1 500 " 15 000 20 " 700 " 11 000 30 " 500 " 15 000 40 " 350 " 20 000 1930 " 200 " 390 000 2100 wygr. mk. 568 000

DOCHODY.		WYDATKI:	
42 000 losów 1 kl. po 28 mk.	1 176 000	2100 wygranych I klasy mk.	286 000
50 000 " II " " "	1 172 000	2100 " II " " "	382 000
57 500 " III " " "	1 076 400	2100 " III " " "	435 000
85 700 " IV " " "	699 600	2100 " IV " " "	568 000
83 600 " V " " "	2 408 000	12 600 " V " " "	3 561 000
	mk 5 282 000	21 000 wygranych	mk 5 282 000

Clagowanie V-jej klasy w grudniu r. b.

WIELKA WYGRANA NA GWIAZDKACH

POLSKA KRAJOWA KASA POŻYCZKOWA

(posiadająca prawo emisji jednego miljarda marek polskich gwarantowanych przez Rzeszę Niemiecką).

Centrala w Warszawie, Bielańska № 10/12.

- Oddziały: w Łodzi, Piotrkowska 57,
- „ w Częstochowie, róg Alei II i ul. Teatralnej,
- „ w Sosnowicach, ul. Warszawska 6.

W najbliższej przyszłości otwarte zostaną oddziały w Kaliszu i Włocławku.

Oddziały te załatwiają następujące czynności bankowe: Lombardowanie papierów wartościowych. Dyskonto i inkaso weksli. Przekazy pieniężne w szczególności do Niemiec i z Niemiec. Otwieranie oprocentowanych rachunków bieżących. Przyjmowanie krótko i długoterminowych wkładów.